

II

Barbara

A dlaczegoż by nie?

Słowa są pretekstem.

*To wewnętrzna więź przyciąga jedną osobę do drugiej,
a nie słowa.*

Rumi

Autobus, którym wraca dziś Basia od Weroniki, wydaje się przedpotopowy. Tak stary, że aż dziw bierze, iż tego typu rumple jeszcze kursują i ludzie do nich wsiadają. Trzęsie się cały w środku, siedzenia oddychają lichotą. Jest w nim duszno, a klekoczących szyb nie można otworzyć, poza małymi lufcikami, ale są tylko trzy na cały pojazd. Kobieta stara się nie patrzeć na oznaki upływu czasu w rzęchovatym autobusie. Jej wzrok wędruje po pejzażach za szybą. Dziś łąki wydają się nieprzystępne, lasy dalekie, a pola milkliwe... Rozmyśla, jak dużo ją wiąże z młodszą koleżanką. Zenon dołącza do wspólnych szeregów. Poczula strach napadający ją znienacka z siłą wrogiego szkwału, zawzięcie chwytający za gardło, uniemożliwiający swobodny przepływ powietrza do płuc. Miała wrażenie, jakby wpadła do niepomiernej studni, tak głęboko, że światło dnia zdawało się nieosiągalne, a wróg popychał ją jeszcze dalej, tam, gdzie panuje już tylko mrok. Obijała się o szorstkie ściany. Zna dobrze te objawy stresu pourazowego. Tak się dzieje po każdym impulsie przypominającym w jakikolwiek sposób pierwotny wstrząs. „Zastygłam w bezradności na spotkanie Zenona. To Weronika utrzymała sprawę w ryzach. Jej brat był dziś jak morze, którym targa złowieszczą hulający wiatr. Zresztą on nie może już zaznać wyciszenia. U niego nie ma już okresów, w których przyływ i odpływ się stabilizują, doświadczają wyłącznie żywiołowego niepokoju, napięcia, braku zaufania. Jemu nie starczyło siły, by uleczyć ból i upokorzenie. A bez tego nie można pójść dalej. Tak wiele mamy wszyscy wspólnego ze sobą”. Basia przechyliła głowę, by oprzeć ją na rozdygotanym siedzeniu. Przyrymka powieki, choć ma świadomość, że już

niedługo trzeba będzie wysiadać. „Jeszcze na chwilkę, jeszcze chwilkę...” – wypowiada do siebie w duchu.

Kiedy wyskakuje z autobusu, postanawia wrócić do domu pieszo. „Nie wytrzymam tego napięcia! Pioruńskiego ciężaru na klatce piersiowej i diabelnego lęku paraliżującego tkanki ciała w więzienną sieć!”. Wchodzi szybkim krokiem do napotkanej „Biedronki” i nerwowo przemierza sklep w kierunku półek z alkoholem. Bierze „małpkę-pigwówkę”, nie mogąc się doczekać, kiedy łyknie pierwszy haust, uśmierzający piekąco-duszący strach. Wraca coraz prędzej, przed blokiem wsiada do swojego auta, włącza głośno ulubioną stację RMF Classic i w końcu oswaja dręczącego ją potwora w środku. Po pierwszym łyku wódki oddycha głębiej. Drugi uspokaja ją na tyle, że pozwala sobie wybuchnąć płaczem. Gdy rozgląda się wokół, sprawdzając, czy nikt nie zdemaskował jej zabiegów, zauważa, że przygląda się jej z niedalekiej odległości jakieś dziecko. W rękę trzyma starego brązowego misia. Basia dębieje, mając wrażenie, że dziewczynka wchłaniała ją wzrokiem. Spręża się i wysiada z auta. Dosłownie leci po schodach, by jak najszybciej znaleźć się w mieszkaniu. W środku, bez jakichkolwiek widzów, wypija trzy czwarte butelki, włącza telewizor i obojętnie wlepia oczy w obraz. Zgrzyta nieświadomie zębami. Ni stąd, ni zowąd dopada ją potężny ból głowy. Rozpuszcza tabletkę przeciwbólową i wypija, krzywiąc się z niesmakiem. Z niechęcią przygotowuje sobie gorącą kąpiel. Wchodzi do wanny i zanurza się w pęcherzykach różowawej piany. Opary ciepła delikatnie ją uspokajają. „Gdyby Weronika wiedziała, kim naprawdę jestem... Dziś czuję się słaba jak źdźbło trawy i zagubiona jak igła w stogu siana. Czy dalej czułaby potrzebę czerpania wsparcia właśnie ode mnie? Idealizuje mnie, to oczywiste. Gdyby wiedziała, jak bardzo byłam w przeszłości do niej podobna, a może dalej jestem?

Gdyby wiedziała, jak się miotam, jaka wciąż jestem uwikłana w przeszłości, jaką mam popapraną rodzinę, jak nisko siebie oceniam”. Przywołuje we wspomnieniach moment, kiedy otrzymała list od recenzentki swej pierwszej książki. Były tam uwagi o zauważonych słabościach tekstu, ale były też entuzjastyczne słowa. Z niedowierzaniem czytała pochlebne zdania, łzy wzruszenia przemówiły: „Taki śmieć jak ja potrafi napisać coś, co jest przyjęte z uznaniem? Gdyby wiedziała, jaką się czuję miernotą na co dzień! Tak, w to by pewnie Weronika nie uwierzyła. Gdyby wiedziała, jakie kiedyś wiodłam życie, w uczuciowym i moralnym chaosie, to jak przygniatała mnie pustka egzystencjalna. Jak bardzo bywałam zniechęcona do całego świata, odczuwałam bezsensowność życia, nie radziłam sobie z prozaicznymi sprawami. Czy wzmocniłoby ją to, czy osłabiło, gdybym opowiedziała jej o momentach, gdy nie miałam już nadziei na uczynienie swojego życia wartościowym? Też kiedyś zupełnie nie potrafiłam rozmawiać z własnymi uczuciami, nawet nie chciałam słuchać, co mają do powiedzenia. Pozostawały nieukozone. Gdyby wiedziała, że ja sama do dziś jeszcze walczę z emocjami, które się we mnie pojawiają, zamiast powitać je z życzliwością, tak jak jej to proponuję. Też jestem w drodze. Nadal się uczę. Czy mam prawo jej apostołować, instruować, jak dochodzić do harmonii, do zintegrowanej osobowości, skoro sama jeszcze kształtuję swoją? Czy mam jej powiedzieć, kim jest Anna? Czy to wyszłoby jej na dobre?” – rozważa, dolewając sobie gorącej wody i płynu do kąpieli. Kropelki pary zwilżają jej twarz. Zapach jaśminu z kosmetyku balsamuje nozdrza. Przyemyka ociężałe powieki, zapadając się na moment w zapomnieniu.

Raptownie wstaje, jakby strzelił w nią grom z jasnego nieba, na mokre ciało narzuca szlafrok i nie wypuszczając wody

z wanny, w mig znajduje się przy biblioteczce. Wyciąga swoją książkę i otwiera ją na chybił trafił:

Mam płowe włoski z fryzurką na chłopczycę. Mama mówi, że są nader słabowite i trzeba je ścinać prawie na zero, by kiedyś były ładniejsze. Włosy i ja. Dziś noszę granatową, flanelową sukienkę z białym kołnierzykiem. W szkole robili pamiątkowe zdjęcia całej klasie, dlatego tak się wystroiłam. Wczoraj bujałam się długo na huśtawce w ogrodzie, słyszałam, jak sąsiadka mówiła do córki, że wyglądam jak z obozu koncentracyjnego albo niechciane dziecko w internacie zakonnicy, bo blada cera, bo cherlawka figura, i że lekarze nie dają gwarancji, czy przeżyję z taką anemią. Nie wiem, co to anemia, nie byłam w obozie ani internacie u zakonnicy, a czy przeżyję... Pogadam dziś z moim Misiem, on mi zawsze potrafi coś poradzić. Warto żyć czy nie warto. Tak, jestem jakaś taka mikra, nie lubię jeść, często wymiotuję, więc mama wpycha mi nie wiadomo jakie przetarte okropieństwa na siłę. Im głębiej mi łyżkę wsadza, tym bardziej rzygam.

Gdy wróciłam dziś ze szkoły, dom był pusty, głuche ściany. Starszego brata gdzieś wywlekło albo może jeszcze nie skończył lekcji. Kto go tam wie, co i gdzie porabia. Dziwny jest ten mój brat, ciągle ścian dotyka, jakby się chciał ich przytrzymać. Idzie wzdłuż muru i tak długo, jak może, palcami przysysa się do cegieł. A może jakąś niewidzialną granicę rysuje.

Siedzę przy staromodnym biurku, skupiona i wpatrzona w kolorowankę. Uwielbiam rysować. Wyciągam różne kolory kredek i smaruję nimi na kartce. Teraz maluję to, co lubię najbardziej: mały, kolorowy domek gdzieś na wsi. Nad kominem kłębi się dym, poskręcany jak sprężyna. W oknach stoją kwiaty. Świeci długimi promieniami słońce. Kilka starych drzew otacza budynek. To domek, w którym mieszka szczęśliwa rodzina. A ja

jestem w ogrodzie z dużym Misiem i trzymam go za rękę. Och, jakżeż słodko on się uśmiecha do mnie... Sama ten uśmiech wy-czarowałam czerwoną kredką na Misiu.

Podskakuję, gdy słyszę zgrzyt kluczy w zamku. Mama wraca ze szpitala z nowo narodzonym braciszkiem. Rzuca bet na werandzie, wkracza do kuchni niczym żołnierz na pole bitwy. Podbiegam do niej ogromnie zaciekawiona nowym życiem w domu. Rzuca na mnie spojrzenia pełne piorunów:

– Ty sama?

– Tak, mamo.

– Gdzie ojciec?

– Nie wiem, mamo.

– Jaki chlew w tej kuchni! – Zakasuje rękawy i bierze się energicznie za zmywanie.

– Mamo, ale w chlewie mieszkają świnki, a tu byłam tylko ja i tato, i...

– No to czego taki chlew zostawiliście po sobie?

Hmm... nie wiem, czemu. Mama szoruje garnki z szewską pasją. Brzęczy nimi, stukają talerze, coś się poturlało i zbiło. Biegnę do noworodka. Leży na wysokim stole, wyciągam rękę, by go dotknąć leciuteńko, bo taki mikry. Ach, jaki śliczny ten mój nowy braciszek!

– Mamo, on płacze!

– A niech płacze, ja mam co robić tutaj.

Przestępuję z nogi na nogę. Gryzę paznokcie. Wlepiam oczy w dziecko, jakby mnie jakiś magnes do niego ciągnął.

– Mamo, on bardzo głośno płacze! – krzyczę.

– A niech płacze, nic mu nie będzie!

Wracam do swojej kolorowanki. Biorę czarną kredkę i mażę nią rysunek. Coraz mocniej trę kartkę, aż w końcu ją dziurawię. Wyrzucam ją do kosza. Biorę kolejną stronę i od razu smolistymi

zygzakami ostrzem kredki przedziurawiam. Drę w strzępy papier i rzucam do śmieci. Następna kartka, następne hebanowe mazaże, następne dziury, kolejny rzut do kosza. Noworodek wciąż wyje, sam na sam z białym, wysokim sufitem nad sobą. Wracam do braciszka, chwilę stoję, wciskając w niego bezradne serce, po czym odwracam się na pięcie i biegnę do swojego pokoju. Biorę pluszowego Misia, przyciskam do brzucha. Mocniej i mocniej. Nie pytam go już dziś o nic. On ma takie duże oczy i śmieszny nosek. Na szyi zawiązałam mu kokardkę. To jest elegancki Misio z czerwoną muszką. Przyklejona do miękkiego włoszaka ze wstążeczką zasypiam.

– Posuń się trochę córciu. – Budzi mnie głos ojca ciemną nocą. – Poprzytulamy się, tak jak lubię. No wiesz.

– Tato, nie.

– Tak, córciu.

– Tato, proszę, nie.

– No już dobrze, nie grymaś, będzie szybko. No, otwórz usta. Tylko szeroko.

Nienawidzę tego obślizgłego pręta sztormującego mi gardło. Ani go przełknąć, ani złapać dech. Gdyby nie należał do taty, mogłabym ugryźć, odgryźć, a tak... przecież nie będę robić krzywdy tacie. Jestem zatkana. Ślina ścieka mi z kącików ust. Dławię się jakby ość wieloryba próbowała przekłuć mi krtań, próbuję łapać zmiotki powietrza, krztuszę się niemym krzykiem, kaszlę wiórami wściekłości. Oczy zacisnęły mi się niby spojone klejem Kropelka. Kiedyś skleilał sobie nim niechący opuszki palców, to wiem, jak to jest. Słyszę już tylko własne serce, ale tak jakby niczego innego nie było w pokoju. Łomocze jak zwańowane. Dudni coraz głośniejsze w uszach, bębenki mi niedługo pękną od tego huku. Chyba bierze rozpęd, by wyskoczyć skokiem wzwyż, hen daleko... Wyrwało się... Pędzi co tchu przed sie-

bie... Nie wie, gdzie i dokąd... Po prostu dokądś... Przed siebie... Dalej i dalej... Nikt go nie ma szans dogonić. Pewnie byłby złoty medal na igrzyskach sportowych. A może leci tam, gdzie anemia zabiera dzieci...

Basia odkłada książkę. Idzie do lustra w łazience. Patrzy przeciągłym wzrokiem w ponure oblicze. Z kamienną twarzą powtarza:

– Jestem ważna. Jestem ważna. Jestem ważna. – Łzy napływają jej do oczu. Zaczyna mówić doniośle: – Jestem, kurwa, ważna! Jestem ważna. Jestem ważna. Ja, kurwa, jestem ważna! Ja! Ja! Ja! Ja jestem ważna! – krzyczy wrogo na koniec. Zwija się nagle wpół, jakby ją dopadł atak wyrostka. Obejmuje brzuch rękami. Rozpacz przeszywa jej policzki. Zaciska powieki z całych sił. Tarza się po podłodze w tę i z powrotem. W tę i z powrotem. Kwili i piszczy, bardziej przypominając zwierzę niż człowieka: – Naucz mnie, Boże, być ważną dla siebie. Ja już nie mam sił. Uczę się i uczę, i dalej nie wiem, jak to się robi. Pokaż mi proszę, co to znaczy być ważną. Pomóż mi, proszę. – Pozbawiony mocy jęk maże ściany, rozlewa się po łazienkowej, kamiennej podłodze.

Następnego dnia po południu Barbara odwiedza matkę w domu spokojnej starości. Duży, połamany geometrycznie budynek otoczony jest wysokimi, leciwymi bukami i jesionami oraz kolorowymi rabatami kwiatków. Nieliczni spacerowicze flegmatycznie suną po otoczonych zielenią alejkach. Na ławkach przed wejściem siedzi kilku opiekunów i wizytujący goście z zastygłymi w bezruchu mieszkańcami.

– Dzień dobry! – Basia kłania się portierce pachnącej naftaliną.

– Dzień dobry! A mama dziś była na terapii i na spacerze, teraz chyba śpi...

– O, to dużo wrażeń jak na jeden dzień. – Basia uśmiecha się, stąpając w górę po schodach. Na pierwszym piętrze wchodzi do jasnego pokoju z dwoma łózkami. Kieruje się do kobiety po osiemdziesiątce po prawej stronie sypialni. Wita też leżącą w drugim łóżku dziewięćdziesięciolatkę o wyglądzie człowieka z obozu koncentracyjnego. Matka Barbary, w pozycji pólężącej, wpatruje się hipnotycznie w córkę. Uśmiecha się do niej płomiennie jak małe dziecko na widok lizaka. Nic nie mówi, tylko elektryzująco wczepia wzrok w Basię, która krząta się wokół rodzicielki. Czesze seniorkę, poprawia poduszkę i koc, którym jest przykryta. Wyjmuje z torebki owoce: banana i jabłko, obiera, kroi na drobne części i zaczyna karmić matkę.

– A Pani Halinki długo dziś nie było, zabrali ją chyba na terapię. Śpi teraz? – zagaduje sąsiadka, pani Jadzia.

– Nie, nie śpi. Była ponoć na zajęciach i na spacerze. Zrobić pani herbaty?

– A tak, poproszę. Pani Halinka dziś w nocy krzyczała: „Basia, Basia, jak ja kocham Basię!”.

– Tak? Dziwne, przecież ona już prawie nic nie mówi... – odpowiada pensjonariuszce, a w duchu dodaje: „Ja takich słów nie słyszałam nigdy”.

– Och, jak ona krzyczała, przychodziły do niej w nocy, uspokajały ją, ale to nie pomagało. A w dzień spokojna jak baranek, nic nie mówi.

Barbara, podając bardzo powoli jedzenie do ust schorowanej matki, przypomina sobie chwile, gdy jako dziecko otrzymywała wciąż dezaprobatę i krytykę, że jest za chuda, za brzydka, niewystraszająco inteligentna, by mieć aspiracje do dobrych szkół. W nadmiarze za to otrzymywała jedzenie. „Czy ja dziś potrafię

dać więcej?” – pyta siebie, podając matce do ust następną porcję. Łzy napływają jej do oczu. Dziś rozumie, że matka miała również ciężkie życie i z bólem patrzy na jej los z perspektywy czasu i na jej wegetacyjną starość. Zbiera się w sobie i zaczyna żywo opowiadać o porannej rozmowie telefonicznej z siostrą matki, Marianną z Białegostoku.

– Zadzwoiłam rano, bo od jakiegoś czasu myśl o ciotce stale chodziła mi po głowie. Całe wieki jej nie słyszałam. Bardzo się ucieszyła z telefonu, była wzruszona. Wypytywała o ciebie. Narzekała, że nie może chodzić, bo bardzo boli ją noga. Relacjonowała remont, jaki robi jej córka, Kasia. Pamiętasz, mam, Kasię i jej męża, Mariusza? Dzielila się myślami o nadchodzącej komunii u wnuczka, Patryka, to syn Władka, pamiętasz mam, Władka, środkowe dziecko cioci Marianny? Śmiała się, że do komunii musi wyzdrowieć, by kupić nową kieckę i się wystroić. O tak, nie zapomniałam, jak obie lubiłyście chodzić po sklepach, znosić torby z zakupami i potem mierzyć nowe ubrania przed lustrem.

Oczy pani Haliny wydają się prześwidrowywać twarz córki, gdy ta peroruje z entuzjazmem i karmi ją przy tym jak niemowlę. Jasnoblękitne tęczęwki – zamiast patrzeć martwo w jeden punkt – zaczynają błyszczeć wigorem. Nawet próbuje unosić się o własnych siłach na łóżku, tak jakby chciała się zbliżyć do Basi.

Barbara wspomina w duchu czasy, gdy jej indywidualność była tłamszona i uczucia negowane przez obydwój rodziców. Surowe i ozięble wychowanie ze strony matki i chora miłość ojca sprawiły, że bardzo wcześnie nabyła tendencji, by szukać w innych przewodnika, by iść za osobą pewną siebie, wierząc, że to, co ona wybierze, będzie dobre i dla niej. Nie ufała sobie, bo nie czuła siebie. Zacierała jej się granica pomiędzy własnymi

i cudzymi pragnieniami oraz opiniami. Nie została nauczona samodzielnie troszczyć się o swoje potrzeby. Nie słyszała własnego głosu, nie ufała swoim wyborom. Wiele czasu jej zajęło, by odzyskać siebie. Tak naprawdę potrzebowała się narodzić na nowo. Potem potrzebowała zrozumieć, że powtórne odradzanie się nie jest aktem jednokrotnym. To bezustanny rozwój aż do końca dni.

Kończy karmienie, przygotowuje jeszcze szklankę ciepłej herbaty i poi matkę małą łyżeczką. Gdy pani Halina „zawiesza się” w bezruchu, trzymając płyn w ustach, Barbara wzdycha tak ciężko, jakby jej płuca wraz z powietrzem podnosiły i opuszczały niebywały ciężar. „Takiej mnie Weronika nie zna” – myśli. Spogląda na stary kasztanowiec za oknem, próbując zaczerpnąć więcej cierpliwości z jego dużych liści. „Nie mogę na to patrzeć, chcę już wyjść jak najszybciej”. – Wstaje, zbiera naczynia i wynosi do łazienki, by je umyć. Gdy wraca do sypialni matki i zaczyna się ubierać, wzrok pani Haliny panikuje, biegając po całym pokoju; nie potrafiąc powiedzieć przez całe spotkanie ani słowa, nagle wydobywa z siebie:

– Idziesz już?

– Tak, mamo, ale wrócę.

Barbara zbliża się raz jeszcze do matki, głaszcze jej policzki i dłonie i macha ręką na pożegnanie. Pani Halina niepewnie odmachuje „pa, pa”, tak jak czynią to chętnie małe dzieci. W końcu się uśmiecha, powtórnie wykonując niebagatelny dla siebie wysiłek i wypowiadając:

– Tylko wróć do mnie!

Barbara po powrocie do domu zjada szybko obiad i zasiada do komputera. Naszło ją natchnienie na pisanie. Odchyła głowę w bok, zastanawia się i powraca do stukania w klawiaturę. Ma twarz rozświetloną delikatnym uśmiechem, jakby pisała

o czymś miłym, a przecież dzień nie był łatwy. Choć już przez tyle lat odwiedza matkę, żadna z wizyt nie jest dla niej obojętna. Jednak pisanie pomaga jej przejść w inny świat, w którym odpoczywa. Dzwonek do drzwi wybija ją ze skupienia. W progu stoi Weronika.

– Przepraszam, że tak wpadam bez zapowiedzi. Tak bardzo chcę się z tobą czymś podzielić.

– Wchodź, proszę. Pozamykam tylko pliki w komputerze i robię herbatę.

Weronika zaczyna paplać trochę jak przekupka na targu, szybko, bez składu i ładu. O tym, że ma zamknięte, lodowate serce. O tym, że jest w niej lęk. Wciąż i wciąż do niej powraca. Tak, o tym też już opowiadała, oczywiście. Jest jej wiernym towarzyszem. Siedzi w jej ciele, na klatce piersiowej, barkach, dotyka serca. Jej ciało to jego dom. Lęk wbudował się w jej organizm. Cierpi, gdy ten niepokonany władca wygodnie usadawia się w jej skórze, mięśniach, kościach do samego szpiku.

– Myślałaś o tym, by podejść do lęku jak do przyjaciela? Wtedy będzie ci łatwiej go zaakceptować.

– Przyjaciół obdarza wsparciem, dodaje otuchy. A lęk?

– Może lęk też chce ci pomóc? Może słyszy twoje myśli i wywiera presję na twoje ciało, byś zareagowała i nakierowała myśli gdzie indziej. Może chce po prostu akceptacji? Lęk słyszy twoje szamotanie się. Twoją dezaprobatę. Twoją niepewność, twoje zmartwienia. Boisz się, że idziesz niewłaściwą drogą, kwestionujesz, czy dokonujesz prawidłowych wyborów. Doświadczasz rozterek. Ciągnie cię w różne strony. Nie wierzysz, że można pogodzić różne swoje pragnienia. Nie ufasz, że sobie poradzisz. Im bardziej nie ufasz, tym bardziej lęk naciska. Jesteś dla siebie surowa, wymagająca, czasami nawet despotyczna.